



You have downloaded a document from
RE-BUŚ
repository of the University of Silesia in Katowice

Title: Zerwana więź : co z doktorantami? : (o paru doświadczeniach)

Author: Józef Olejniczak

Citation style: Olejniczak Józef. (2013). Zerwana więź : co z doktorantami? : (o paru doświadczeniach). W: A. Dziadek, K. Kłosiński, F. Mazurkiewicz (red.), "Przyszłość polonistyki : koncepcje - rewizje - przemiany" (S. 125-131). Katowice : Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego.



Uznanie autorstwa - Użycie niekomercyjne - Bez utworów zależnych Polska - Licencja ta zezwala na rozpowszechnianie, przedstawianie i wykonywanie utworu jedynie w celach niekomercyjnych oraz pod warunkiem zachowania go w oryginalnej postaci (nie tworzenia utworów zależnych).



UNIwersYTET ŚLĄSKI
W KATOWICACH



Biblioteka
Uniwersytetu Śląskiego



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

Zerwana więź. Co z doktorantami? (0 paru doświadczeniach)

W tekście przedstawię dwa aspekty tej samej sprawy. Jednej z podstawowych, moim zdaniem, bolączek dzisiejszej akademickiej (i szkolnej) polonistyki. *Zerwana więź* to łączność między Uniwersytetem i Szkołą, niezbędna, w moim przekonaniu, jeśli w poważny sposób myśleć o przyszłości nauczania „języka polskiego” (co w szkolnej praktyce znaczy przecież: języka, literatury i kultury polskiej oraz w mniejszym zakresie literatury i kultury Zachodu) w polskiej szkole na wszystkich poziomach edukacji. Z kolei pytanie o doktorantów jest *de facto* pytaniem o tych, którzy w najbliższej przyszłości decydować będą o kształcie polonistyki na wszystkich poziomach edukacji i kształcenia. Będę tu pisał o gorzkich obserwacjach, jestem bowiem przekonany, że wszystkie elementy polonistycznej układanki wymagają bardzo szybkich i radykalnych działań, a te przeprowadzane i zapowiadane przez ministerstwa odpowiedzialne za edukację i szkolnictwo wyższe nie idą w dobrym kierunku. Nie chcę tu krytycznie oceniać działań tych centralnych organów, chcę jednak zwrócić uwagę, że środowisko akademickie niewiele zrobiło, by się tym zmianom skutecznie przeciwstawić oraz by podjąć z władzami centralnymi merytoryczną dyskusję. Największym, moim zdaniem, zaniechaniem akademickich humanistów i przedstawicieli nauk społecznych jest przyjęcie za obowiązującą doktryny o konieczności „upragmatycznienia” programów studiów wyższych w Polsce oraz podporządkowania ich potrzebom pracodawców i rynku pracy. W kontekście coraz głębszego niżu demograficznego oznacza to ni mniej, ni więcej tylko unicestwienie polonistyk akademickich nastawionych przede wszystkim na kształcenie nauczycieli polonistów.

Zerwana więź

Chodzi mi o relację między polonistyką szkolną i polonistyką akademicką. To istny ocean problemów! Tradycja jest XIX-wieczna, z niewielkimi modyfikacjami przechowana do lat 90. XX wieku. Szkoła średnia dawała podstawowy kurs historii literatury polskiej, gramatyki języka polskiego i w minimalnym stopniu historii języka polskiego, rzadko nauczyciele humaniści korelowali to z nauczaniem historii (gdy byłem uczniem I klasy szkoły średniej, na koniec roku szkolnego historyk wprowadzał nas w historię starożytnego Rzymu, a polonistka opowiadała o literaturze XVII i XVIII wieku, a dalej było tylko gorzej). W latach 70. w nauczaniu literatury coraz większy nacisk kładziono na sprawność analityczną i interpretacyjną, co zapewne było jakąś pochodną triumfów metodologii strukturalnej na polskich uniwersytetach. Polonistyka akademicka zaś „pogłębiała” historycznoliteracką wiedzę i analityczno-interpretacyjne umiejętności uczniów. Oraz, bo tak nakazywała tradycja, przygotowywała do zawodu nauczyciela polonisty na różnych szczeblach edukacji. Sytuacja była więc taka, że nauczyciele akademicy rozpoczynali pracę ze studentami pierwszych lat polonistyki, mając świetną orientację co do stanu ich wiedzy i umiejętności polonistycznych. Między szkołą i uniwersytetem panowała więź, nawet – powiedziałbym – wspólnota. Ale nie oceniam tu merytorycznych podstaw owej więzi, opartej przecież na opresyjnym (w szkole podstawowej, średniej i na uniwersytecie) obowiązku lektury zbyt dużej liczby pozycji ze słabo zhierarchizowanej historii literatury polskiej (pytanie o kanon literatury polskiej poważnie nie było zadawane!) oraz na równie opresyjnym sposobie nauczania mocno zideologizowanej historii Polski i historii powszechnej. Nie chcę więc przekonywać, że była to więź konstruktywna, nie chcę jej waloryzować dodatkowo. Twierdzę, że w okresie ustrojowej transformacji ta więź została – oby nie bezpowrotnie – zerwana.

Wpłynęły na to trzy czynniki. Pierwszym była ideologiczna doktryna „scholaryzacji” i umasowienie studiów polonistycznych w Polsce, co spowodowało gwałtowne skurczenie się rynku pracy dla absolwentów ciągle nauczycielskich polonistyk, pogłębione, a właściwie pogłębiane (bo ten proces trwa), sytuacją demograficzną. Znowu muszę zgłosić zastrzeżenie – nie chcę samej idei otwarcia uczelni wyższych w Polsce waloryzować ujemnie. Chcę jednak zwrócić uwagę na dwa elementy tej idei towarzyszące:

1. Ekonomiczny: wielokrotnemu wzrostowi liczby studentów nie towarzyszył wzrost nakładów na szkolnictwo wyższe i przyrost etatów naukowo-dydaktycznych, co spowodowało (bo musiało spowodować) obniżenie jakości kształcenia (wszyscy wiemy, że inaczej pracuje się z 12-15-osobową grupą ćwiczeniową niż z grupą 25-30-osobową; wszyscy wiemy, że

inaczej pracuje się w jednym miejscu pracy, a inaczej w dwóch, trzech, czterech...).

2. Merytoryczny: przynajmniej w pierwszym dziesięcioleciu transformacji programy polonistyk uległy niewielkim zmianom, nadal kształciliśmy nauczycieli polonistów, nadal tkwiliśmy programowo w paradygmacie historii literatury narodowej, jaki został wypracowany w XIX wieku. A miejsc pracy dla nauczycieli polonistów już w szkołach właściwie nie było...

Drugi czynnik procesu zrywania więzi między polonistyką szkolną i akademicką stanowiła fatalnie pomyślana i równie fatalnie przeprowadzona reforma systemu szkolnictwa. Na pierwszym etapie jej wdrażania sytuacja była taka, że na poziomie gimnazjalnym, licealnym i uniwersyteckim powtarzany był, coraz pobieżniej, ten sam program historii literatury narodowej. Później, gdy wprowadzono nowy model egzaminu maturalnego – trzyletnie licea radykalnie zmieniły program nauczania, zaznaczyły się w nim – co chwalebne – tendencje do integrowania przedmiotów humanistycznych (języka polskiego, historii, rzadziej – filozofii, historii sztuki, historii muzyki). Ale tak naprawdę to licea zaczęły funkcjonować pod presją skracającego się czasu nauczania (to *de facto* pięć semestrów) oraz konieczności dobrego wyniku egzaminu państwowego, co nierzadko oznaczało, że nauczyciele poloniści organizowali swoją pracę wokół skutecznego rozwiązania przyszedłego testu maturalnego. Co w tym czasie działo się na polonistykach uniwersyteckich? Pomijam tu znakomite otwarcie metodologiczne literaturoznawstwa, a także zauważalną różnorodność i wielość języków opisu literatury i kultury narodowej oraz świadomość możliwości wielokontekstowej lektury tekstów kulturowych, bo to zjawiska pozytywne. Ale w naukowej działalności polonistyk. Bo nauczanie literatury pozostało bez zmian. Kultura pisma pod wpływem głębokiej rewolucji cywilizacyjnej przesuwiała się na margines. Dramatycznie zawężał się kanon dzieł literackich, a polonistyka akademicka wykazała się, moim zdaniem, głębokim konserwatyzmem organizacyjnym i programowym. Bo też uniwersytetów urzędnicy i politycy nie zaprosili do poważnej dyskusji nad – pewnie koniecznymi – reformami: szkolną i szkolnictwa wyższego. W efekcie, jak sądzę, dopiero teraz, w drugiej dekadzie XXI wieku, wśród polonistycznych akademików dojrzewa przekonanie o konieczności uwzględnienia, często nieodwracalnych przecież, procesów kulturowych, cywilizacyjnych i prawnych. Przykład tego koronny to nasz stosunek do procesu bolońskiego, zredukowany do jałowych dyskusji w obronie pięcioletnich studiów magisterskich, sporów „3 plus 2” czy „3 i 2”, błędna interpretacja i chybione w większości wypadków wdrażanie systemu punktów ECTS (pracownicy dziekanatów dopisujący w indeksach i na kartach zaliczeniowych punkty ECTS do ocen wystawionych przez nauczycieli

akademickich), a ostatnio – dyskusje nad narzuconymi przez nową ustawę o szkolnictwie wyższym Krajowymi Ramami Kwalifikacji).

I tu docieram do czynnika trzeciego, już merytorycznego. Chodzi mi o to, że zbyt późno w uniwersytetach rozpoczęliśmy poważną dyskusję (zdaje się, że teraz zaczynamy ją toczyć, czego jakimś świadectwem jest tematyka tego Zjazdu) o nowym miejscu literatury (ale też kultury, języka) w cywilizacji Zachodu. Nie postawiliśmy u progu wejścia do Unii Europejskiej pytań podstawowych, dotyczących nowych uwarunkowań prawnych, ale przede wszystkim także o możliwość innego usytuowania literatury (kultury, języka) narodowej, o kanon, o to, jak nowe metodologie zmuszają do przemyślenia na nowo historii literatury, wartości literackich i kulturowych, o to w końcu, czy nie przydałaby się głęboka rewizja utrwalonej tradycją hierarchii, że przypomnę zabawne spory z ministrem Giertychem „poprawiającym” listę lektur obowiązkowych.

Chodzimy teraz po swoich wydziałach, katedrach, instytutach polonistycznych i narzekamy, że przyjmujemy na studia wyższe coraz słabiej przygotowanych do studiowania i wyposażonych w coraz mniejszą wiedzę polonistyczną oraz coraz mniejsze umiejętności absolwentów szkół ponadgimnazjalnych. Że mamy słabo czytanych w literaturze polskiej i powszechnej studentów, często studentów niezainteresowanych literaturą, często kiepsko władających polszczyzną. Przyjaciel językoznawca, mówił mi wielokrotnie o poszerzającym się analfabetyzmie funkcjonalnym wśród studentów polonistyki... A jednocześnie – jakby na przekór tym zjawiskom – rozwijamy i umasowiamy studia doktoranckie, zwane teraz studiami trzeciego stopnia, o sytuacji doktorantów napiszę w drugiej części tekstu.

W jaki sposób przywrócić harmonię między Szkołą a Uniwersytetem? Nie ma chyba innej drogi niż podjęcie przez obie strony współpracy. Z jednej strony „otwarcie” Uniwersytetu na współpracę ze szkołami, np. przez przyjęcie patronatu nad konkretnymi szkołami czy pozytywistyczną pracę nauczycieli akademickich z najzdolniejszą młodzieżą. W Uniwersytecie Śląskim od prawie 10 lat Wydział Filologiczny na podstawie umowy o współpracy pracuje z liceum w Jaworznie, co polega na comiesięcznych wizytach uczniów z klasy humanistycznej na zajęciach akademickich oraz konsultacjach uczniowskich prac olimpijskich, a także wizytach nauczycieli akademickich (najczęściej moich) w szkole, gdzie prowadzimy lekcje lub wygłaszamy odczyty. Efekty są takie, że od momentu podjęcia współpracy absolwenci tej szkoły najczęściej wybierają Uniwersytet Śląski i podejmują na nim studia na kierunkach humanistycznych (wcześniej 90% absolwentów wybierało Uniwersytet Jagielloński). Tu dodać muszę łyżkę dziegiu – wiele wskazuje, że już w najbliższej przyszłości uczestnictwo uczniów w zajęciach akademickich nie będzie możliwe. Bynajmniej nie z tego powodu, że ich pobyt

w Uniwersytecie dezorganizuje pracę dydaktyczną na uczelni lub że władze (instytutów, katedr, wydziałów, uniwersytetu) utrudniają tu cokolwiek, lecz dlatego, że dyrektorom szkół coraz trudniej jest zorganizować wyjście uczniów ze szkół w godzinach lekcyjnych, głównie z powodu zaostrzonych rygorów bezpieczeństwa uczniów i sprawowania nad nimi opieki poza szkołą. Wniosek nasuwa się sam – pewnie pora wrócić do dobrej międzywojennej tradycji i szerzej zaproponować szkołom współpracę. Może warto wrócić do międzywojennej tradycji lekcji szkolnych prowadzonych przez profesorów Uniwersytetu? Nawet w ramach akademickiego pensum?

Drugim doświadczeniem, jakim chciałbym się podzielić, jest praca w Stowarzyszeniu Edukacja dla Przyszłości, polegająca na realizowaniu programów edukacyjnych za środki pozyskiwane z Unii Europejskiej (np. Regio, EFS), ale także na codziennym kontakcie z nauczycielami polonistami z paru szkół województwa śląskiego.

Formą zbliżenia polonistyk szkolnej i akademickiej są też organizowane w Uniwersytecie studia podyplomowe dla nauczycieli. Myślę, że w bardzo gruntowny sposób powinniśmy tę ofertę przemyśleć i poszerzyć, przyglądając się znacznie uważniej potrzebom szkolnych polonistów. Studia podyplomowe są, moim zdaniem, wielką obustronną szansą na odzyskanie więzi absolwentów z uczelnią, na której studiowali, a ze strony Uniwersytetu pewnego rodzaju gwarancją, że szkolne programy nie będą anachroniczne albo „poddańcze” w stosunku do konieczności wykazania przez szkoły dobrego statystycznie wyniku państwowego egzaminu dojrzałości, lecz w dynamiczny sposób zareagują na zachodzące zmiany cywilizacyjne oraz w nauce o polskiej kulturze. Czy funkcjonujący w Uniwersytetach system studiów podyplomowych te warunki spełnia? Moim zdaniem – nie. Można – nie jestem przekonany, że trzeba, choć czynnikiem decydującym jest tu ekonomia – poszerzać ofertę studiów podyplomowych o coraz to bardziej efektywnie brzmiące programy, w których wciąż więcej będzie wielo- i multikulturowości, interdyscyplinarności, społecznej innowacyjności i pragmatyzmu; można – by zachęcić potencjalnych słuchaczy – łączyć prawo, politykę, *public relations*, socjologię, politologię, teologię, psychologię, psychologię społeczną, co tam jeszcze; można obiecywać, że zajęcia na studiach podyplomowych prowadzić będą policjanci, politycy, dziennikarze, aktorzy, celebryci, adwokaci, prokuratorzy, sędziowie, telewizyjni prezenterzy, specjaliści od wizerunku, od *public relations*, od zarządzania zasobami ludzkimi, od zarządzania w sytuacjach kryzysowych... Napisałem już, że za decyzjami rad wydziałów, instytutów, katedr polonistycznych powołujących takie studia podyplomowe stoi zwykle „nadzieja ekonomiczna”. Często wystarczająca na rok, dwa... Może warto spytać, czy nie jest to myślenie krótkowzroczne, a doraźny i krótkotrwały zysk w ostatecznym efekcie nie prowadzi do pogłę-

biania zjawiska rozmywania się naszej dyscypliny podstawowej i do postępującej marginalizacji polonistyki?

Z drugiej strony niezbędne jest też „otwarcie” Szkoły na współpracę z Uniwersytetem. Jak do tego „otwarcia” doprowadzić? Nie wiem. Trzeba usiąść do stołu z nauczycielami i dyrektorami szkół i na partnerskiej zasadzie rozpocząć debatę. Pamiętajmy, że większość z tych partnerów to nasi byli studenci... Twierdzę, że warto ich posłuchać. Warto się wzajemnie przekonywać, że obecność Uniwersytetu w Szkole, Szkoły w Uniwersytecie, kontakt Nauczyciela z akademickim Profesorem to w ostatecznym efekcie zawsze będzie wartość dodana. Dla Szkoły i Uniwersytetu, dla Ucznia, Studenta, Nauczyciela i Profesora...

Co z doktorantami?

Umasowienie studiów doktoranckich, poza oczywistymi pozytywnymi skutkami, przyniosło wiele zjawisk negatywnych. Oto ważniejsze z nich:

1. Obniżenie poziomu powstających w 4-letnim cyklu prac doktorskich.
2. Coraz węższa specjalizacja wypromowanych absolwentów „studiów trzeciego stopnia”.
3. Nieuregulowany do dziś status socjalny i prawny słuchaczy studiów doktoranckich, powodujący w środowisku doktorantów narastającą frustrację.
4. Niewielka liczba zajęć prowadzonych przez doktorantów, nieprzygotowująca ich do zawodu nauczyciela akademickiego.
5. Praktyczny brak jakiegokolwiek rynku pracy dla doktorów nauk humanistycznych (polonistów), wiele przykładów wskazuje, że szkoły niechętnie przyjmują do pracy osoby z dyplomem doktora.

Dziesięć lat temu wspólnie z przyjaciółmi z UJ, UAM i UW (Profesorem Jerzym Jarzębskim, Profesorem Przemysławem Czaplńskim, Profesor Hanną Gosk i Profesorem Andrzejem Zieniewiczem) podjęliśmy próbę uaktywnienia naukowego doktorantów, polegającą na organizowaniu (co rok w innym uniwersytecie) doktoranckich konferencji naukowych. Jakie są efekty tych spotkań? Po pierwsze, stworzona została „struktura pozioma”, a doktoranci z czterech uniwersytetów znają swoje zainteresowania, metodologię swoich przyszłych dysertacji. Zdaję sobie sprawę, że aktualnie sytuacja jest diametralnie inna – doktorancki ruch naukowy bardzo się zdynamizował, ale gdy przypominam sobie początek XXI wieku i wielkie trudności z „wpisaniem” doktoranta do programu sesji naukowej, to widzę, że ta forma pracy przyniosła dobre efekty. I jeszcze truizm – niezbędne wydaje mi się zbudowanie ogólnopolskiej bazy danych, zbierającej tematy i krótkie choćby opisy powstających we wszystkich ośrodkach akademickich prac doktorskich. Niezbędnie też musimy sobie zadać pytanie, jak „odmłodzić” Uniwersytety. Proporcja

między „samodzielnymi” nauczycielami akademickimi a „niesamodzielnymi” (*de facto* adiunktami i starszymi wykładowcami z tytułem doktora) jest zachwiana, kadra akademicka się „starzeje”, a system zatrudniania w Uniwersytecie najzdolniejszych (także w sensie umiejętności dydaktycznych) absolwentów studiów doktoranckich daleki jest od doskonałości.

Diagnoza przedstawiona w niniejszym tekście jest krytyczna w stosunku do środowiska, którego sam jestem przedstawicielem, a „doświadczenia”, jakie przedstawiam, mające się przeciwstawić negatywnie diagnozowanej rzeczywistości są zdecydowanie zbyt skromne. Nie ma tu symetrii. Zdaję sobie z tego sprawę. Jest jakimś usprawiedliwieniem, że funkcjonując w przestrzeni Uniwersytetu i na styku Uniwersytetu i Szkoły oraz pracując z doktorantami, rzadko zyskiwałem (i zyskuję) akceptację oraz wsparcie podejmowanych działań. Gdy pełniąc funkcję prodziekana Wydziału ds. Kształcenia i przewodniczącego Senackiej Komisji ds. Kształcenia, nawoływałem do pełnego otwarcia rekrutacji i niestawiania przed kandydatami na studia polonistyczne żadnych wymagań, poza zdaniem egzaminem dojrzałości lub dyplomem licencjackim, w trosce o to, iż nie zdołamy wypełnić „limitu” na pierwszym roku studiów licencjackich i magisterskich, słyszałem pomruk, że „polonistyka się obroni”... Ciągłe ten pomruk słyszę i pogłębiają się moje wątpliwości, czy rzeczywiście w oferowanym przez nas kształceniu się obroni?... I czy przedsięwzięte przez Uniwersytety działania nie są: po pierwsze, spóźnione; a po drugie, czy nie prowadzą w kolejny ślepy zaułek. Kiedyś, chyba na przełomie lat 70. i 80. minionego wieku, przyjęliśmy wszyscy w Uniwersytetach zasadę, że naukę w nich uprawiają fizycy, matematycy, biolodzy, chemicy – w ogólnym znaczeniu przedstawiciele nauk laboratoryjnych; a poloniści kształcą nauczycieli... Zasadę akceptowaną, z niewielkimi modyfikacjami w stronę „innovacyjności”, „nowych technologii” itd., do dnia dzisiejszego. W 1948 roku Jerzy Stempowski kończył swój zatroskany o stan nauk humanistycznych esej w następujący sposób: „Jako wiernemu synowi pozytywizmu, piszącemu te słowa trudno jest robić proces pozytywizmu współczesnego. Nie można jednak ukryć, że lud laboratoryjny dostarczył w ostatnich czasach dotkliwych rozczarowań. Żyjąc w obawie wypowiedzenia sądu wartościującego, nie zajął stanowiska [odnośnie – J.O.] do najważniejszych zagadnień naszego czasu. W swych białych tunikach pozostał niemy, fabrykujący posłusznie bomby atomowe. **Humanisci nie mają mu tak wiele do zazdroszczenia. Od formacji humanistycznej oczekujemy czegoś innego**”¹.

Mnie te słowa porażają aktualnością. Sześćdziesiąt cztery lata po ich napisaniu...

¹ P. HOSTOWIEC [właśc. J. STEMPOWSKI]: *Eseje dla Kassandry*. Paryż 1961, s. 23 (podkreśl. – J.O.).